



Kordian w szopce

włec Grzegorza, Laury czy Wioletty, nie wiemy nic o jego osobistych perypetiach, zakończonych samobójczym strzałem, ani o gorzkich doświadczeniach zbieranych podczas wędrówek

PIERWSZA premiera „Kordiana” w inscenizacji Kazimierza Dejmka odbyła się w warszawskim Teatrze Narodowym jeszcze w listopadzie 1965 r. z racji obchodów 200-lecia Sceny Narodowej. Obecnie — po przerwie — wrócił „Kordian” na tę-żę scenę, ale już w kształcie zmienionym. I nie tylko z racji tego, że w pierwszej wersji rolę tytułową grał Ignacy Gogolewski, a obecnie nowy nabytek tej sceny — Wojciech Alaborski, choć wiadomo, że wraz ze zmianą czołowego bohatera, zwłaszcza w tego typu utworze, otrzymujemy właściwie nowy spektakl. Zmienił się jednak tym razem również układ tekstu, a z nim poniekąd styl całego spektaklu. Zatrzymując poprzedni, rzecz można kabaretowy kształt Prologu, starał się inscenizator i w dalszych partiach utrzymać ciągłość tej narodowej szopki, już to przypominając ją między odsłonami, już to wkładając niektóre didaskalia (czyli uwagi odautorskie przy osobie dramatu, w rodzaju: rzuca się na kolana, wyciąga ręce itp.) w usta jednego z szatanów (w tekście Czarownica) przygotowujących Prolog.

Zrezygnował Dejmek zupełnie z osobistego nurtu w „Kordianie”, nie spotykamy w nim

po świecie. Po raz pierwszy widzimy Kordiana od razu na audiencji u Papieża, a następnie na szczyście Mont-Blanc, a prawdę mówiąc, w scenicznej wersji — po prostu na jakiejś dzwonnicy. I tu szukałbym klucza do tej inscenizacji. Prowadząc „Kordiana” jako dramat polityczny, reżyser wyraźnie pozbawiał utwór fantazji, tak nierozzerwalnie związanej z dziełem wielkich romantyków. Szamotanie się wewnętrzne Kordiana, ów „jaskółczy niepokój” na drogach świata, owa niemożność znalezienia osobistego szczęścia tłumaczy w pewnym sensie u Słowackiego klęskę Kordiana jako wyzwoliciela Ojczyzny. Jeśli natomiast od początku jest on tak po męsku zdecydowany na podjęcie tej nierównej walki politycznej, jeśli pierwszy sięga w podziemiach po sztylet, by zabić szpiega (u Słowackiego zabójstwa tego dokonuje się za kulami), to nie rozumiemy w końcu, dlaczego tak wyczerpany pada na progu sypialni cara.

Zdaję sobie sprawę z konieczności wyboru, doceniam koncepcję reżysera, który niezrażony głosami krytyki starał się konsekwentnie przeprowadzić swój zamiśl przy kolejnej inscenizacji „Kordiana”, wydaje się jednak, że odbieranie romantykowi tego, w czym ich siła i wielka zarazem magia, nie może być uwieńczone pełnym sukcesem. I nawet nie wiem, czy można młodego aktora obciążać tu winą, że „nie udźwignął roli”. Może zbyt ją wykrzyczał, ale skoro zaczynał słynnym monologiem, jak miał rozłożyć swe siły?

„Kordian” Juliusza Słowackiego w inscenizacji reżysera tej miary co Kazimierz Dejmek — przy wszystkich zastrzeżeniach recenzenta — stanowi niezwykle prowokującą propozycję nowego przedstawienia utworu. Skoro narzekamy, że zbyt rzadko wchodzą nasze największe dramaty narodowe na scenę, może właśnie warszawski spektakl zachęci ludzi teatru do podjęcia polemiki. Na łamach fachowych czasopism, a przede wszystkim — na scenie.

Z. SIERADZKA